



W SŁOŃCU

NR. 11.

DODATEK DO TYGODNIKA „Z BLIZKA I Z DALEKA”.

WARSZAWA 14 MARCA 1914 R.

Janusz Korczak:

Z Tygodnika Domu Sierot.

SMUTNA NOWINA.

Niestety jest tak, że musimy więcej myśleć i pisać o tym, co jest smutne w naszym domu. Dobrego nie potrzeba zmieniać, więc myślimy o sprawach radosnych tylko wtedy, kiedy jest czas i to przez jedną chwilkę. Ale jeżeli stanie się coś złego, trzeba to koniecznie poprawić, a jeżeli poprawa jest trudna, trzeba długo myśleć i wiele pisać o tym.

I wy robicie tak samo. Jeżeli wszyscy mają czapki, to się o czapkach nie mówi, ale kiedy zginęła czapka Altszylera, mówiło się o tej czapce dużo. Nikt nie mówił:

— Jak to dobrze, że tamte dzieci mają czapki.

Tylko mówiono:

— Jak to źle, że Altszyler nie ma czapki.

W sali rekreacyjnej jest dużo pieców, ale tylko z jednego pieca woda ciekła. Więc nie mówiło się o żadnym piecu dobrym, tylko o tym jednym piecu złym.

Chcielibyśmy bardzo dawać w Tygodniku wesołe i dobre wiadomości, ale nie mamy miejsca, bo tyle miejsca zajmują smutne i złe wiadomości.

To wszystko napisaliśmy dlatego, żeby nasi czytelnicy nie myśleli, że się u nas nic dobrego nie dzieje...

Więc cóż stało się tak smutnego? Może się bardzo zdziwicie, jeśli wam powiem, że tą smutną nowiną jest choroba dużego Sejwacza. Sejwacz ma słabą piersi, ma chore płuca. Kiedy Lola ma gorączkę, albo Herzman miał wrzód na nodze, albo ktoś kaszle nawet bardzo mocno, jak Barszcz kiedyś w nocy—to są to drobiazgi. Goldstein miał nogę złamaną, i to nawet był drobiazg. Choroba trwa tydzień, albo miesiąc nawet — i dziecko jest znów zdrowe. Choroba Brotmana jest niebezpieczna, zaraźliwa i leczenie kosztuje 20 rubli, ale Brotman będzie zdrowy. — Z Sejwaczem zupełnie co innego. Jeżeli jego zdrowie nie poprawi się prędko, nie będzie mógł być krawcem — i cały rok będzie dla niego stracony. Jeżeli się nie wyleczy dobrze, to może jeszcze gorzej zachorować, kiedy już będzie dorosły.

Sejwacz jest mały i głupi, i nie rozumie tego wcale, a co najgorsza, że nie chce słuchać. Tranu nie pił, bo mu nie smakował, bo tran — to nie piwo, ani wódka, ani woda sodowa, ani lemoniada z kubła na ulicy. Jeśli mu obiad nie smakował, to go zostawiał. Przecież i Płacz choruje, a pomimo to przez niecały rok przybyło mu na wadze osiem funtów, a Sejwaczowi przybył tylko jeden funt.

Waga już dawno mówiła:

— Sejwacz jest niemądry.

Ale Sejwacz myślał, że jest mądrzejszy od wagi.

Waga zaczęła krzyczeć:

— Z Sejwaczem będzie źle.

Zaczęło Sejwaczowi dawać jajka.

A trudno jednemu — i to takiemu, który ma grymasy, — dawać inne jedzenie, bo dzieci mogą myśleć, że się robi wyjątki, — ale nie było innej rady... Sejwacz miał chorą szyję, — zrobiły mu się gruczoły. Może teraz się poprawi, — będzie więcej jadł i wcześniej chodził spać. Ale on i teraz nawet nie słucha, — nie chce leżeć w łóżku i podobno dalej grymasi.

A nikt nie ma czasu, żeby o nim myśleć, jeżeli sam nie myśli o sobie — i dlatego nie wiemy, co z nim dalej robić.

Będzie go Biderman dwa tygodnie, albo miesiąc zastępował u krawca, panna Spinki, ale co będzie, jak się ten miesiąc skończy? Taka choroba nie trwa tydzień, ani miesiąc, ale trwać może pięć, nawet i dziesięć lat.

P E R K U S.

Pierwszą noc śpi dziś Perkus u majstra.

Szkoda, — mógł jeszcze być u nas. Pewnie mu jest smutno.

Niema tam nikogo, komu mógłby opowiedzieć, co robił przez cały dzień.

Trzy lata terminu...

Niejedną łzę wyleje, nieraz zapłacze.

I bratu jego jest niedobrze.

Będzie sobie Perkus przypominał, jak wysypał worek confetti na głowę kucharki u pana Szymona, jak nie chciał być dyżurnym w kuchni, — jak nauczycielce powiedział, że sama nic nie umie.

Będzie żałował, — ale to już nic nie pomoże.

To bardzo smutne, gdy się żałuje, że się źle zrobiło, a już zapóźno, aby się poprawić.

BAND ZNÓW ZMIENIA ZAJĘCIE.

Band był u pana Pawelskiego, który robi szklane szyldy. Oddaliśmy tam Banda, bo choć leniuch wielki, ale lubi rysować. Ale nie podobała mu się ta praca, teraz jest u grawera. Znów mu się nie podoba. Chce iść do krawca.

Dla nas byłoby najwygodniej i najłatwiej oddać chłopca do krawca. Perkus w dwa dni dostał miejsce. Nie chcieliśmy oddać Banda do krawca, bo on nigdy porządnym krawcem nie będzie, — całe życie będzie biedny i nieszczęśliwy. Jeżeli Band nie chce takiego zajęcia, gdzie można trochę rysować, to dowód, że nie chce robić. A na to mu pozwolić nie można.

Niedobrze dzieje się z Bandem.

NOWE DZIECI.

(ŚMIETANA).

Mieszkali w małym mieście. Ojciec pracował, matka prowadziła gospodarstwo — i dobrze im było, tylko dzieci im się nie chowały. Urodziło się pierwsze dziecko — miało pięć lat — umarło na odrę. Urodziło się drugie, mądre, wesołe — miało półtora roku — zaziębiło się i umarło. Trzecie żyło tylko miesiąc.

Rodzice płakali. Ale czwarte i pią-

te — żywe, zdrowe chłopaki chowały się dobrze. Ojciec pracował, matka pracowała. A potem przyszedł znów chłopak — i zdrowy.

Ale ojciec zaczął chorować na ucho. Ucho go bolało, w głowie mu szumiało, przyszła gorączka. Jeden, drugi doktor leczył — było raz lepiej, raz gorzej.

Jeszcze się jedno dziecko urodziło, ale już nie cieszyli się nim rodzice, bo ojciec nie mógł pracować.

Pojechał do doktorów do Warszawy, — dużo podróż kosztowała, zaczęli sprzedawać, co mieli: komodę, lichtarze, szafę.

Ojciec umarł. Dziadek biedny, — wdowy z czworgiem dzieci utrzymać nie może.

I przyjechała matka Śmietany do Warszawy, — do służby.

Kto weźmie służącą — z czworgiem dzieci? Potrzymają miesiąc — dwa i powiadają:

— Idź z Bogiem.

Starszy chłopiec jest u mosiężnika, dwoje małych z matką mieszka u krewnych, też trzymać ich nie chcą, bo sami nie mogą się zmieścić w izbie. A Moszek jest u nas. Cichy, grzeczny — i dobrze się uczy — bardzo dobrze się uczy, — dwa tygodnie dopiero i już pisze wyrazy. Ale kiedy noc przyjdzie, Śmietana miewa napady. Ciężko oddycha, ręka mu się trzęsie — i ciężko mu na sercu. Szkoda!

Będziemy go leczyli, — może wyzdrowieje, — może nie będzie się tak męczył: dajemy mu tran z lekarstwem.

To dobrze, że dzieci go nie biją, ani pchać,—może się wyleczy i będzie nie drażnią, bo nie można go ani dzie mógł zostać u nas.



H. Aanrud:

Baba Jaga.

(DOKOŃCZENIE).

Po chwili dziewczynka zapytała znowu:

— A jak to się stało, babuniu, że cię ludzie tak przezwali?

Babka otarła łzy ręką.

— Opowiem ci i to. Znasz gospodynię z Hoël, starą Brygidę? Prawda, opowiadałaś mi, że rozmawiała z tobą.

Otóż to ona tak mnie przezwala. Byłyśmy rówieśnicami i bawiłyśmy się razem. Tylko, że ona była gospodarską córką, a ja sierotą przybłądą. Robiłyśmy sobie same zabawki: krowy, owce, całą oborę i codzień urządzałyśmy różne zabawy. Pewnego razu przyszło do Brygidy kilka dziewczynek w odwie-

dziny. Mnie niewolno było zbliżyć się do nich — byłam przecież przybłądą. Stałam więc z daleka i przyglądałam się ich zabawie. Wtym zobaczyłam, że bawią się zabawkami, które należały do mnie także. Podeszłam więc bliżej. Wtedy jedna z dziewczynek zobaczyła mnie i zapytała: „A to kto taki?” Brygida była zawsze dumna i napewno wstydziła się mojej podartej sukienki, powiedziała więc ze śmiechem: „To Baba Jaga. Wiecie, ta, co lata na łopacie w wieczór Trzech Króli. Czego tu chcesz? Wynoś mi się zaraz, ty szkarado!” Stałam, jak przygwożdżona. Wtedy dziewczynki zawołały: „Trzeba ją zakląć!” I wszystkie naraz zaczęły wołać: „A kysz! A kysz!” Uciekłam, lecz ciągle słyszałam za sobą ich wołanie. Czasem zdaje mi się, że jeszcze teraz słyszę ich głos. Od tej pory nie bawiłam się już nigdy z Brygidą, chociaż chciano mnie do tego zmusić nawet biciem. Potym opuściłam dom jej rodziców i chociaż spotykałyśmy się często, nie rozmawiałam z nią nigdy. Nigdy też moja noga nie postąpiła więcej w ich domu, choć przysyłała po mnie. Było to wkrótce potym, jak straciła wnuka.

Staruszka zamilkła. Jagusia siedziała zasluchana z otwartymi ustami. Nagle babka wstała i odezwała się innym zupełnie tonem:

— Siedzę tu i prawię, jak do dorosłego. Zapamiętaj sobie jedno — nie chcę, abyś została przy mnie i dziedziczyła po mnie moje przezwisko.

Teraz i Jagusia wstała i odparła pewnym głosem:

— Ale ja nie chcę odejść od cie-

bie, babuniu. Mogą mnie nazywać Babą Jagą, jeśli im się podoba.

— Ani myśl o tym! — przerwała jej babka. — Zaraz jutro idę do drugiej wsi i oddam cię tam do służby.

* * *

Jagusia nie mogła zasnąć tej nocy; leżała z otwartymi oczyma, rozmyślając. Zdarzyło jej się to pierwszy raz w życiu. Wszystkie jej myśli jednak obracały się około jednego obrazu — pięknej, starej twarzy o stanowczych, zaciśniętych ustach i przenikliwym, a przytym serdecznym wyrazie bladobłękitnych oczu. A kiedy dziewczynka wreszcie zasnęła, twarz ta towarzyszyła jej i we śnie. A był to piękny sen: Brygida Hoël i babka pogodziły się uroczyście.

Stara Agnieszka nie zaprowadziła Jagusi nazajutrz do sąsiedniej wsi, jak zamierzała. Rano bowiem użuła tak silne klucie pod lewą łopatką, że nie mogła wstać. Znała ten ból od zeszłej wiosny.

Jagusia musiała pójść do najbliższej zagrody prosić, aby Olina przyszła z poradą. Sama jednak nie wróciła z Oliną do chaty i tłumaczyła jej, że musi we wsi załatwić coś dla babki.

Podreptała pięciutko w kierunku wsi, szła, zaciskając mocno pięście, wiedziała teraz, czego chce i co ma zrobić. Brygida Hoël, która miała moc narzucenia babce hańbiącego przezwiska, musi je teraz zdjąć z babki albo przynajmniej przenieść na nią samą, Jagusię. Nic, a nie sobie z tego nie robi, że

będą tak na nią wołali. Aby tylko babka tak się nie martwiła. Jagusia czuje, że od wczorajszego wieczoru pokochała babkę zupełnie inaczej, niż dotychczas.

Niebawem Jagusia stanęła w wielkiej kuchni dworu w Hoël i pytała nieśmiało, czy może mówić ze starą Brygidą.

Zaprowadzono ją do pokoju. Brygida siedziała przy piecu, z kłębkim bawełny w ręku. Obok niej stał stół, na którym leżała książka i okulary. Na skrzyp drzwi staruszka odwróciła się i ujrzała małą jasnowłosą dziewczynkę w fałdzistej spódnicy, dygającą głęboko. Milczała przez chwilę, a potem spytała ze zdziwieniem:

— A cóż to za ładna dziewczynka przychodzi do mnie w odwiedzinę tak wcześnie?

— Jestem Jagusia, z pod lasu.

— Czyż do możliwe? Więc jesteś wnuczką... Przerwała nagle. A po chwili dodała łagodniej:

— Chodź bliżej. Niech ci się przyjrę.

Jagusia podeszła.

— Tak, naprawdę podobna jesteś do babki, kiedy była mała. Jakże jej się powodzi?

— Chora jest.

Blady rumieniec okrył twarz Brygidy. Cichym głosem zapytała:

— Czy przychodzisz z poleceniem od niej?

Jagusia zacisnęła mocniej piąstki, a usteczka jej drżały, kiedy odpowiedziała:

— Nie, nie od niej; przychodzę sa-

ma od siebie. Chcę cię poprosić, abyś zdjęła z babci mojej przezwisko, które...

Oczęta jej zwróciły się z prośbą serdeczną na twarz Brygidy, a kiedy zobaczyły, jak brwi staruszki ściągają się i nadają twarzy surowy wyraz, dziewczynka przestraszyła się tak bardzo i zmieszała, że ze łzami dodała:

— Jeśli chcesz, możesz mnie za to nazwać Babą Jagą.

Przez chwilę było cicho. Oczy Jagusi zawisły błagalnie na twarzy Brygidy, która powoli łagodniała, aż rozjaśniła się promieniem uśmiechu. Staruszka spojrzała serdecznie w błękitne oczy Jagusi i kładąc, jej rękę na głowie, rzekła stanowczym głosem:

— Chodź, odprowadzę cię do babki.

Kiedy zaszły do chaty na skraju lasu, nie weszły razem do izby: Brygida chciała wejść sama.

Nikt nie wie, o czym tak długo rozmawiały z Agnieszką. To tylko pewne, że nie było mowy o tym, aby mała Jagusia opuściła babkę, już choćby dlatego, że Agnieszka była coraz bardziej chora. Po trzech tygodniach wyniesiono jej trumnę z chaty. Poniesiono ją do kościoła; a tuż za trumną szła Brygida Hoël z Jagusią. Po pogrzebie Jagusia nie wróciła już do chaty na skraju lasu. Brygida zabrała ją ze sobą do Hoël, do swego domu. Nazywano tam nieraz dziewczynkę Jagą, ale wymawiano to imię pieszczotliwie i wszyscy wiedzieli, że jest to tylko przezwisko dla żartu.

tłum. J. M.

Marja Weryho:

Kuna leśna.



— Ach! sama nie wiem, co się ze mną dzieje!.. W głowie mi się kółkuje, w oczach ciemno... Czyżby to już był koniec?... Czyżbym miała już nie żyć?...

Tak myślała kuna leśna, siedząc w pułapce.

Rzuciła się na wszystkie strony, kręciła się w kółko, aż wreszcie zmęczona, usiadła, jak martwa.

— Miałabym zginąć w taki marny sposób?... Ja?... tumak, który był postrachem dla wiewiórek, zajęcy, myszy!... Sarniątka nawet przed moją pogonią ująć nie mogły!... A cóż mówić o ptakach?... dla małych i dużych postrachem byłam.

— Nie było wypadku, ażeby mi się nie udało, gdy tego chciałam, zdusić ptaka, bez względu na jego wiek, siłę i wzrost...

Na wspomnienie o ptakach ślina napłynęła do ust kuny, mlasnęła językiem w pyszczku raz i drugi...

— Ale na to trzeba było mojej zrzeczności!...

Pamiętam... razu pewnego... czuwałam wśród lasu, a tu noc, ciemno, wszystko śpi dokoła... Skradam się więc leciutko po gałęziach, tak lekko, tak ostrożnie, że zanim się obudzi ptak, już mam go na smaczną wieczerzę...

Jak dobrze szło, to nieraz całe gniazdo stało się moim łupem.

Jestem pewną, że ptaki ani się domyślają, kto takie wielkie spustoszenie wśród nich robi...

...I ja—dzisiaj, miałabym w pułapce zginąć?... Nigdy... o nigdy!... Jeżeli dałam sobie niedawno radę z gromadą pszczoł, które chciały mnie swo-

jemi żądlami zabić; jeżeli umiałam zabrać im tyle miodu, ile chciałam, poczym bezkarnie uciekłam... to i obecnie nie zginę...

— Powiadają, że lew jest królem zwierząt. Ale to w ciepłych krajach. U nas na północy lwów niema, więc chyba śmiało mogę się nazwać królową... W drapieżności żadnemu zwierzęciu na świecie nie ustępuję, choć nie jestem dużą... Pazury mam silne i ostre, drapię się po drzewach, jak nikt... i jak nikt skaczę z jednej gałęzi na drugą... Umiem szybko biegać i wybornie pływać... Niechże to kto potrafi!...

A czy ktokolwiek może się równać ze mną pod względem piękności futra! Brunatny grzbiet, złotawa kamizelka, piękny duży ogon—włos cieniutki, puszysty... Słowem ubranie królewskie noszę!...

— No i mieszkam po królewsku: w szerokiej dziupli starego dębu!...

W nocy się zwykle wychodziło na łowy, a w dzień się spało. Zupełnie inaczej, niż ta cała hołota leśna...

A jednak—przyznać muszę, że brzydkie łakomstwo mnie zgubiło. Malin mi się zachciało!... I to dla jakichś trzech,

czterech jagódek — może trzeba będzie z życiem się pożegnać.

Otrząsnęła się, zadrżała z przerażenia.

— Nie! za nic na świecie!... nie!... zawołała. Niechno się tylko kto zbliży do mnie, odgryzę mu palec. Człowiek zajmie się raną, a ja sobie zręcznie ucieknę. Już raz miałam taki wypadek i pozostałam cała.

— Królowa lasów nie da się łatwo złapać... O, byleby tylko conajprędzej stąd się wydostać!...

.....

Minęło lato, a za nim przysła jesień. Drzewa potraciły liście, a maliny—owoce.

Niebawem nastąpiły mrozy.

Wtedy to żona leśnika ubrała się w ciepłe palto z pięknym tumakowym kołnierzem i wyszła na przechadzkę.

Podziwiały sąsiadki ładne futerko.

Pani leśnikowa, słysząc te pochwały, z wesołą miną mówiła:

— No i niech sobie państwo wyobrażają... Tumak przyszedł na maliny—no i dzięki temu mam futerko, bo sam złapał się w zastawioną pułapkę...

